

Paweł Chojnacki: Pchła i Redaktor

Parzy pod powieką okrucuch jakby z Andersena. Owad, lądując na bułanym grzbiecie kłania się na lewo i prawo przekonany święcie, że tłum wiwatuje na jego cześć właśnie, nie konnego władcy. Co to za baśń? Entomologicznym idąc tropem – „Pchła i profesor”. Pudło! W obrazie z dziecięcej pamięci to król, nie naukowiec zbierał gapiów owacje. Pchła się chełpiła? „Żuk” może, co „wplątał się w delikatną, długą, miękką grzywę nadwornego, cesarskiego rumaka”. Więc pierwszy podtytuł się wyklął...

Nigdy nikt nie napisze wielkiego, wiekopomnego dzieła o pchle, choć było wielu, co tego próbowali.

Herman Melville, *Moby Dick* czyli *biały wieloryb*[1].

Żuk w grzywie

Bowiem o tej bajkowej scenie myślę, gdy śledzę w „Kulturze” teksty Juliusza Mieroszewskiego. A bodaj intensywniej dumam – studiując współczesne o nich rozprawy. Nie tak dawno wyszedł na przykład tom dziennikarskich fragmentów filaru lafickiego miesięcznika. *Kroniki angielskie i fragmenty autobiograficzne* (Paryż–Kraków 2020) stanowią ciąg dalszy *Listów z Wyspy. ABC polityki „Kultury”* drukowanych osiem lat wcześniej w tej samej serii. A one z kolei to drugie wydanie zbioru opracowanego przez Rafała Habielskiego (*Final klasycznej Europy*, Lublin 1997). Bliźniaczy układ z dodanym indeksem oraz bibliografią. I ze zmienionym cokolwiek wprowadzeniem,

przeobrażonym w posłowie. Książka ukazała się kiedyś w aurze intelektualnego wydarzenia. Po ćwierci wieku podanie pism – na przykład – Ignacego Matuszewskiego nie mogło już liczyć na zbliżony rezonans.

Nie mogło z wielu powodów, z których ostatnim byłby argument, że Mieroszewski dystansuje tego i resztę współzawodników w konkursie o miano „najwybitniejszego polskiego pisarza politycznego XX wieku”, jakim jest głoszony. (We wstępie z 1997 roku straszy opinia Andrzeja Micewskiego, który nazwał Mieroszewskiego „pierwszym publicystą Rzeczypospolitej”. Cóż, szybko agencja zaczęła ubierać go w wygodne buty. Bardziej przylega do realiów inne przytoczenie. Wojciech Wasiutyński: „Była to jedna z najbardziej przereklamowanych postaci dziennikarstwa polskiego”). Również „kronikarski” suplement do *Listów z Wyspy...* wzbudził mniejszą gorączkę. Ale jeszcze o nich.

Zajmując się dziejami prasowego piśmiennictwa politycznego nie wolno włączać elementów współczesnego języka gazetowego do narracji historycznej. Zwłaszcza, gdy przejawia się w tym kierunku utwierdzoną predylekcję, lecz i niekłamany dryg oraz posiada rodzaj bardzo trudnego do wytłumaczenia monopolu na zajmowanie się przez całe życie zawodowe jedną tematyką. Podsumowanie dokonane po dwunastu latach przez autora wyboru najważniejszych wizji Mieroszewskiego jest rozmyślnie nieco wyprane z drażniącej nonszalancji cechującej pierwotny komentarz. Czyżby w 1997 roku przeświadczenie o końcu historii i spełnieniu (przebiegłych ponoć według scenariuszy Londyńczyka) dziejów – wypełniło bez reszty wyobraźnię badacza?

Przeczytaj również: Londyńczyk na Święta

W prologu do nowszej edycji pobrzmiewa wyłagodzone przekonanie raczej o wadze pytań, jakie dziennikarz stawiał, niż o niewzruszonej aktualności odpowiedzi: „Wśród zasług Mieroszewskiego wymienia się na ogół trafność diagnoz będących wstępem do trafności prognoz, co nie znaczy, że zawsze miał rację... [wszystkie wytłuszczenia – P.Ch.]”. To już pewien postęp, dotychczas w stu procentach bywał nieomylny. Możemy czuć się chwilowo zwolnieni od analizy „trafności diagnoz”, gdyż na bieżąco czynili to oponenti (w tym Adam Pragier), bez których głosów wiedza o Londyńczyka „godnym uznania wkładzie do dziejów polskiej myśli politycznej” pozostanie niepełna, względnie – połowiczna. Reagował przez ćwierć wieku na doraźne fokusy i pokusy, na zaplątania światopoglądowe, niemniej żywotność tych reakcji rysuje się atrakcyjną poznawczo tylko w konfrontacyjnym zestawieniu z polemistami. Potraktowana autonomicznie – będzie cząstkowa, a przez to przestarzała.

Egzegeci prozy dyskursywnej Mieroszewskiego – odziewając ją chętnie w szaty misternej ideologii, zwartego, profetycznego programu czy najwyższej miary stylu – cofają nas w procesie jej recepcji. Starają się nie zauważać instrumentalnego i doraźnego charakteru twórczości byłego nowelisty i eseisty, jakże użytecznego dla Jerzego Giedroycia przy realizacji celów taktycznych bliskiego zasięgu i obliczonych na łobuzerskie często rażenie medialnej konkurencji oraz politycznych przeciwników na emigracji. Jednocześnie manewr krytyki „Polskiego Londynu” służył „Kulturze” do przypodobania się odbiorcom krajowym, rekrutującym się z peerelowskiej inteligencji, a więc łasym na każdą pokrętną strategię samousprawiedliwień. Żywotność quasi-naukowej manieri jest niezwykła, gdyż do dziś najczęściej jej przodujący praktycy wywodzą się z wymienionego wyżej kręgu czytelników.

Aczkolwiek można spomiędzy wersów uwielbienia wypreparować niekiedy włókna obiektywizmu. Znów Habielski, w postscriptum z 2012 roku: „Niekoniecznie trzeba dostrzegać w tym [świadczenie prof. Piotra Wandycza, którego krewny Juliusz dumny był z arystokratycznego nazwiska i pochodzenia, co jest przecież naturalną, wręcz notoryczną przypadłością „białej emigracji”, tak przez „Kulturę” tępioną – P.Ch.] dowód na to, że poglądy prezentowane przez Mieroszewskiego publicznie nie w pełni przystawały do głoszonych prywatnie”. „Niekoniecznie trzeba”, ale chyba można? „Nie w pełni” – czy w ogólności? Także czarujący bon mot, propagowany przez Andrzeja S. Kowalczyka (*Wena do polityki. O Giedroyciu i Mieroszewskim*, t. 1, Warszawa 2014), że był ten drugi „publicystą zmieniającym poglądy, niezmiennym jednak [...] przekonaniom” niestety... nie przekonuje.

Zryty mózg

Kogoś może wszak razić powszednia w pisarstwie Mieroszewskiego maska wiecznego studenciaka. Wspomni w „Orle Białym” w 1948 roku: „Mój pierwszy wiersz zaczynał się od słów: «Mózg mi drze idea twórczości...»”. I coś z młodzianiskowej szarpaniny umysłu zostało w nim do końca. Ktoś może także zachować nieufność wobec erupcji konceptów ideologicznych, która zaatakowała nagle mężczyznę śmiało po czterdziestce i rosła, rosła do siedemdziesiątki. Dręczyć pytanie, dlaczego żadna, bardziej skomplikowana wiwisekcja rzeczywistości nie wytrysła spod tego pióra (czy klawiszy maszyny) dużo wcześniej? Nawet jeśli uznamy czas Marsowy za przyczynę uśpienia niespożytej prasowej muzy, nawet gdy przyjmiemy, że pisarz doświadczył wtedy zmrożenia talentów, to dlaczego w powojennej pięciolatce nie dostąpił olśnienia i nie przejawiał oryginalnych ambicji w tej mierze? A dawniej?

Wystarczy poznać artykuły z „Ikaca”, w tym pogłębione szkice z „Kuryera Literacko-Naukowego”, by przekonać się o przepaści dzielącej krakowskiego zurnalistę od wschodzących gwiazd – rówieśników z „Buntu Młodych” i „Polityki”. W tym punkcie, w drodze dygresji, trzeba by odnotować zaprawę w budowaniu akcesoriów, służebnych wobec konkretnych – powiedzmy – partyjnych celów, dostrzec trening, jaki przeszedł Giedroyć w tamtej fazie życia. Zastanawia, czy tak drobiazgowo i skwapliwie roztrząsany obecnie przez dziejopisów dorobek programowy dwóch ostatnich tytułów również nie podlega nadinterpretacji? Czy nie należałoby go postrzegać jako funkcjonalną „przymiarkę” do nowoczesności – czyli do przedmiotowego traktowania ideologii i polemiki, jako li tylko narzędzi pomocnych w praktyce rządzenia, która w przypadku zespołu „Polityki” konkretyzowała się w perspektywie samodzielnego startu w wyborach 1940 roku?

Czy aby młody Giedroyć to nie prekursor podobnego technokratycznego wyboru? Czy nie dlatego Adolf Bocheński głosił niebawem, że „ludzie porządni nie powinni przeżyć tej wojny”, widząc, że własne, niechby najbłyskotliwsze teoretyczne modele, nie wykorzystane w bieżącej walce o władzę i potem o jej utrzymanie, są bez wartości? Czy nie udowodnił swym tragicznym wyborem tej wewnętrznej prawdy? Bo ostanę zwolennikiem tezy, że szukał we Włoszech śmierci i ją znalazł. Czy nie zdziwiłby się – on czy spadkobierca w tej mierze, Giedroyć (już przez „c”) – widząc, jak do ich teoretycznych zasłon dymnych, środowiskowych ofert i porachunków, koncesji stronnictw, ukłonów i dąsów, czarowań, odsądzeń od czci – modlą się zastępy przejętych analityków, biorąc ten bagaż śmiertelnie poważnie na warsztat i cyzelując wykładnię? Dobrze, ale co stało poza tą interesującą historiozoficzno-geopolityczną fasadą?

Przed potopem 1939 chodziło jej budowniczym o zmianę pokoleniową w ówczesnym „obozie trzymającym władzę”, jednak jaki impuls prowadził wygnane niedobitki tej generacji po 1950 roku? Na pewno – w sensie operacyjnym – zabiegi o utrzymanie liczącego się ośrodka, idącego autonomicznie ręką w rękę z największym, amerykańskim sojusznikiem. Jaki był dalekosiężny cel tej aktywności? Finalny, gdzieś hen na horyzoncie – to odzyskanie przez Polskę niepodległości (nie odrzemy tych bruków ze szlachetnych intencji). Lecz co stanowiło zamiar pośredni, leżący pomiędzy bieżącą taktyką, a mirażem patriotycznej paruzji? Jaki był dotykalny, wyższy cel morderczego, podwójnego wysiłku? Podwójnego, gdyż składały się nań i znojne maskowania rzeczywistej drogi, jak i (wymagająca także ogromnych mocy) bieżąca „produkcja”, ta – obliczona na podtrzymanie autorytetu – na politycznym torcie kulturowa wisienka, która się ostanie.

Krajowi historycy najstarszej formacji, skupieni od kilkadziesiąt lat na opisie barwnej scenografii, przytłoczeni mnogością i różnorodnością rekwizytów oraz pomysłowością dekoracji, mylą grane ongiś role, nie odróżniają halabardnika od solisty; gubią rangę miejsc (gdzie scena, a gdzie widownia?), nie widzą kto aktorem, kto reżyserem, a kto podwykonawcą adaptacji cudzego scenariusza. Zagadują nieprzytomnie temat, powielają spłowiełe wykładnie, mnożąc coraz bardziej drobiazgowo źródła (epistolografia!), wychowując przy tym pragmatycznych następców. Chciałoby się sparafrazować wyrażoną w odmiennych okolicznościach i przy zupełnie innej okazji aluzję Józefa Mackiewicza. Jako, że ma się wrażenie, iż gdyby o „Kulturze” napisano nieco mniej, może byśmy ją znali nieco lepiej... I jak on zakończyć: „Nie chcę przez to nikogo urazić”.

Doktryna czy dywersja?

Dziękując za zaproszenie do numeru poświęconego Londyńczykowi zdaję sobie sprawę, że refleksje me służyć mogą jako krytyczny kwiatek do ciężkiego kozucha uwielbienia, błysnąć ekscentryczną ciekawostką, dodając pikanterii wyrafinowanym studiom tzw. poważnych ludzi. Gdyby było inaczej, mógłbym wystąpić na tych łamach z serią artykułów zawierających materiał dowodowy, a nie z ich syntetyczną „zajawką”. Bo przecież nikt, kto „poważny” nie może kwestionować jednoznacznie pozytywnych osiągnięć Redaktora (koniecznie pisanego dużą literą), a co za tym idzie – podważać wielkiego kalibru jego frontmana. Nikt „poważny” nie wątpi w ich jednakowoż przemożny co zbawienny wpływ na polską kulturę czy myśl... A co, jeśli zakrzyknę, że Giedroyc jest nagi? I Mieroszewski – też? Że jeden to ledwie uzdolniony *ghost writer* drugiego, nikt więcej?

Z racji, że bez wątpienia i ochoczo posługiwał się on – nazwijmy tę formę najdelikatniej – *poetyką przesady*, uprawnione będzie pożyczenie od niego zabójczego i jakże wygodnego narzędzia. Piszę więc nad wyraz prostolinijnie również dlatego, iż muszę wyznać, że umordowany jestem powtarzaniem od ponad dwudziestu lat jawnych dowodów, przytaczaniem znanych faktów, prostowaniem notorycznych zniekształceń, czy powielanych nieprawd. Już nawet na temat owego znużenia zdążyłem się wypowiedzieć, wzmiankując, że oponenti liczą chyba na zmęczenie samotnego adherenta, w równym stopniu, jak towarzyszy im – zda się – wiara, że od powtarzania swoich tez przybędzie ich sądom miarodajności[2]. Nie dziwota więc, że niniejsze rozważania prowadzone znowu na ten sam temat mogą odrobinę stracić powaby świeżości...

A starczyłoby zupełnie, że przedłużający ponad wszelką miarę żywot – jałowy – nurt „peerelo-nostalgii” zaciemnia obraz historii i krwawicy Polaków drugiej połowy XX wieku. Nie musimy obecnie toczyć sporu w ramach, w których tkwią przykładowo Habielski czy Kowalczyk, możemy stać się dziedzicami całokształtu przeszłych motywów: sabotażu i eksperymentu oraz kłasnanych przy ich udziale podwalin. Tych wielorybich rudymentów, dzięki którym „pchle figle” Londyńczyka były w ogóle możliwe. Tylko rzeczowa dyskusja na temat zasadniczych torów rozwijanej na emigracji tożsamości może przynieść budujący surowiec dalszej samowiedzy. Oczywiście, o ile uznany, że owa całościowa samowiedza jest do czegoś potrzebna. Nasza kultura potrafi ze swego skarbcza wydobyć rzeczy i nowe, i stare, „postępowe” oraz „zachowawcze”. Lecz pamiętajmy, że pierwsze stają się niejednokrotnie drugimi. I na odwrót. Ważne, by rozpoznać bogactwa autentyczne i szczerze. I umieć sięgać po nie, bo dają nadzieję na przetrwanie.

W recenzji *Kronik angielskich...* przed sześcioma laty, wędrując w „Nowych Książkach” *W poszukiwaniu utraconego Londyńczyka*, by określić główny kurs jego piśmiennictwa posłużyłem się stwierdzeniami, które trudno mi teraz precyzyjniej zastąpić. To „użyteczna” i „retro-buńczuczna felietonistyka”, „narracja użytkowa”, „dziennikarska bieżączka”, wreszcie – „rychłe fanfaronady”[3]. Tomik *Ewolucjonizm*, wedle definicji jego autora – *pamflet*, więc właśnie „doraźny pamflecista polityczny” to odpowiednie określenie, a nie huk fanfar Habielskiego o „nieprzemijającej wartości publicystyki Mieroszewskiego”. Bieżące hasanie, powiedzmy mocniej – dywersja ideologiczna w ścisłym sensie znaczenia tego słowa nie może być mylona z myślą polityczną. Zgodzimy się za to oceną źródła powojennych przekonań Mieroszewskiego: „Sprawa ta, podobnie zresztą jak poglądy Giedroycia, nie jest jednak całkiem jasna”.

Przeczytaj również: Przyczynek do dziejów rozbrojenia romantyzmu w PRL

Podobnie cieszy, że padnie w końcu trzeźwa ocena: „Prawdą jest przy tym, i nie ma powodu tego ukrywać, że nie wszystkie jego (i «Kultury») koncepcje zmaterializowały się w postaci faktów politycznych lub zachowań społecznych”. Podrażmy, które konkretnie „się zmaterializowały”? Z dalszej perspektywy dostrzegamy też, jak wiele oczywistości Londyńczyk głosił. Czy trzeba drukować po raz kolejny to przemijające tworzywo? Z kruchej postury harcownika-prowokatora rzeźbić na siłę marmurowy monument? Paradoksalnie, niegdyś siewca fermentu – dziś symbol jednej z doktryn, przeciwko którym tak gorąco występował. Normalna kolej rzeczy? Traci się natomiast osobisty wymiar harówki wykonanej dla Giedroycia. Różne są bowiem formy ucieczki od pielgrzymiej beznadziei. Mieroszewski akurat „zafiksował się” na „Kulturę”. Można i tak.

Taktyka zmęczonych dwójkarzy

W rozważaniach dotyczących relacji drugiego wielkiego redaktora, Mieczysława Grydzewskiego z Zygmuntem Nowakowskim przywołałem zdanie z listu Giedroycia do Wacława A. Zbyszewskiego: „Ty, jak i ja, właściwie nie wierzymy, że jesteśmy na siłach wziąć odpowiedzialność za kogoś, tym bardziej, że nie możemy sobie dać rady z samym sobą. Ja się ogłuszam «Kulturą» i całym tym młynkiem, a Ty wmawiasz w siebie, że się nieszczęśliwie kochasz”. Powtórzę i komentarz: „Ocieramy się tutaj o wspólną, egzystencjalną prawdę, przewyciężającą cementowane w historycznych przekazach podziały. Czy Grydzewski i Nowakowski nie «ogłuszali się» podobnie «swym młynkiem?»[4]. Niemało ludzi krząta się wciąż nad utrzymaniem postrzegania losu i dziedzictwa tamtych ludzi na

poziomie naiwności licealisty lat osiemdziesiątych. Nie tak łatwo się z warstwy niedojrzałości wydobyć. Ciągłe wieją przeciwne wiatry, a napędzające je maszyny dmą bez wytchnienia.

Ktoś może zarzucić, że nie szanuję sensu i ogromu wysiłku Giedroycia oraz Mieroszewskiego, jego poziomu i różnokierunkowości. Cenię każdą uczciwą pracę, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, jaki ta stanowiła dla jej „tytanów” przywilej. Stworzenie, odnalezienie czy też samo spetryfikowanie warunków, umożliwiających finansowe utrzymanie się z aktywności w „polskim świecie” to dla dojrzałych wiekiem inteligentów-emigrantów najwyższe marzenie. Raptem nielicznym udało się je spełnić, więc cieszę się z ich szczęścia w tej mierze, acz nie otwieram ust w niemym podziwieniu dla efektów. Te były różne i jakże często droga do nich była ważniejsza, niż wskazywane abstrakcyjne a niekiedy instrumentalnie polityczne cele. Mieroszewski to fachowy dziennikarz, którego walory umiał wykorzystać demiurgiczny redaktor. Tyle. Reszta to dyskusja nie o personifikowanej przez jego nazwisko szkole myślenia, a o dywersyjnych metodach stosowanych przez prasowy aparat Jerzego Giedroycia.

Byłoby w porządku, gdyby kampania prowokacji kontr/wywiadowczych łubskiego porucznika podlegała służbowo nadzorowi płk. Wincentego Bąkiewicza przy stałej asyście kpt. Ryszarda Wragi (nie lubili się niestety). Tak być w realiach emigracyjnych nie mogło, ale... można rzec, w istocie przebiegło. Albo przynajmniej – taką proponuję perspektywę, proszę o spojrzenie w pokrewnych proporcjach. (Mieroszewski 1961: „Pozostajemy za granicą by tworzyć aktywną opozycję, której w Polsce Ludowej nie ma”). Fascynuje taktyka nowoczesnych „dwójkarzy”, prowadzących grę z amerykańskimi służbami. Lecz tylko taktyka – bez uprawiania mozolnej „wiary” w głoszone (czysto posiłkowo) teorie. Techniczna robota, nie ideowa

„rozkmina”; zamysł nad płodem „inżyniera dusz” (a może bystrego majstra – zważywszy na ubóstwo i prymitywizm środków?) a nie: kreatora-historiozofa-intelektualisty.

Przeczytaj również: Podstawowe źródła do dziejów „wragizmu”

Sztandarowi „giedroyciolodzy”, Rafał Habielski i Andrzej S. Kowalczyk, choć wprowadzeniu do *Kronik angielskich...* nadali tytuł *Mieroszewski – mistrz felietonu i autobiograf* głoszą: „Jako jeden z nielicznych intelektualistów emigracyjnych zdawał sobie sprawę z tego, że o randze wychodźstwa będą decydowały wybitne dzieła artystyczne i intelektualne, a nie jałowe spory działaczy politycznych, ideologiczne deklaracje, licytacja na slogany”. Po pierwsze, był akurat zdecydowanie jednym z „mistrzów felietonu”, a nie wyjątkowym „intelektualistą”. Po drugie, wielu piszących ujawniało identyczne przekonanie (ów nimb rzekomej niepowtarzalności wyłania się podczas eksplikacji jego piśmiennictwa nie raz)[5]. Może tylko niektórym redaktorom, wydawcom, czynnym „działaczom politycznym” udzielał się w tej mierze anglosaski antyintelektualizm kraju osiedlenia.

Po trzecie, sam Mieroszewski wszedł w krytykowane przez się położenie producenta „jałowych deklaracji”. Nade wszystko – za co chwala go ciągle w 2020 roku Habielski i Kowalczyk – jako „najradykalniejszy krytyk obozu londyńskich niezłomnych”. Gdy czytamy jednak starszą opinię pierwszego badacza, że: „Informacje o rzeczywistości krajowej i sytuacji politycznej w świecie czerpał głównie z radia, telewizji i prasy”, uderza niezamierzony komizm, szczególnie w kontekście obwieszczanej wytrawności sądów telemana. Niemniej: „Jednym z nadrzędnych celów stawianych przez Mieroszewskiego swemu piśmiennictwu była próba nakłonienia emigracji do odejścia od idei niezłomności”. Dysponować miał przy tym „w

przeciwieństwie do swych adwersarzy odwagą i wyobraźnią polityczną”. Odmawianie tych przymiotów choćby Pragierowi czy Mackiewiczowi trudno uznać za rzeczowo udowodnione[6].

Siła złego na jednego

W spojrzeniu na Mieroszewskiego/Giedroycia i na „Kulturę” pokutuje bez przerwy krajowy typ percepcji wobec propagowanej przez tzw. „zespół paryskiego miesięcznika” optyki. A była ona formowana „pod PRL” ze wszelkimi tego nastawienia konsekwencjami (uproszczenia i pochlebstwa, rozporządzanie alibi dla kolaboracji z komunistami etc.). Zdumiewa trwałość bezkrytycznego ich do dziś odbioru. Wydawałoby się, że w ciągu trzydziestu pięciu z górą lat kontemplacja omawianego wycinka dziejów powinna zdobyć się na strząśnięcie peerelowskich kompleksów. Więcej, rodzi się dezyderat, że do wydobycia się z czerwonych ograniczeń musimy nie przestawać dążyć, że ambicją – przynajmniej przedstawicieli elity pierwszego pokolenia dojrzewającego w nowej Polsce po 1989/1991 roku – będzie wyzbycie się gorsetu duszącego oldskulów. A cóż dopiero mówić o aspiracjach najmłodszych roczników polskiej inteligencji!

Zdawałoby się również, że one dopiero wystawią całościowy rachunek staromodnym wykładniom. Nic takiego przez minione dekady się nie zdarzyło, co wydaje się przeczyć dotychczasowym doświadczeniom historycznym związanym z buntami nadchodzących generacji. Przeciwnie, mamy do czynienia wręcz z reprodukcją postaw dostosowawczych, niechęcią coraz to młodszych do podważania zastanych ustaleń, do odświeżenia spojrzenia, do zrewidowania wizji przeszłości zasnutej dotąd niezdolnością do odcięcia się od bolszewickiego dziedzictwa i sięgnięcia po kapitał kulturowy zgromadzony przez całą emigrację. Doświadczamy sytuacji przypominającej

postawę młodszego pokolenia Wychodźstwa wojennego i powojennego, które miało kontestować „ojców” pomnożonym radykalizmem w dążeniu do odzyskania niepodległości, zaskoczyło kontestacją ich niezłomności.

Aktualny stan refleksji nad „doktryną Giedroycia” jest powyższych procesów znakomitą ilustracją. Nie można powiedzieć, aby wskazane wyżej konformistyczne i koniunkturalne tendencje zdołały rozwijać się wyłącznie w sposób naturalny. Było (i jest) w czyimś interesie doprowadzenie do podobnego stanu, ktoś z niego czerpie korzyści i ktoś nad jego rozpowszechnieniem i scementowaniem usilnie pracował i pracuje. Zauważał w 1969 roku Pragier, podsumowując w „Wiadomościach” ankiety oceniające pisarstwo nie kogo innego, a Londyńczyka: „Gdy rządowi polskiemu odmówiono uznania i gdy ukształtowała się w wolnym świecie polska emigracja polityczna, pozostawała ona i wciąż pozostaje pod nieustannym oddziaływaniem wpływów obcych”. Siła złego na jednego! Tak jest do dzisiaj i w kraju.

Szerokie oddziaływanie mitu „Kultury”, zarządzanie przezeń sporym fragmentem naszego ideologicznego, propagandowego (i aspirującego do formatu intelektualnego) świata, razi jako relikwiarz kolonialnej mentalności. Poręcznej jednakowoż w zmienionych dość powierzchownie warunkach. Nie leżałoby w interesie polskiej suwerenności podtrzymywanie powyższego stanu, leży to natomiast z pewnością w interesie czynników zewnętrznych, zainteresowanych niezmiennie konserwacją sytuacji braku owoców wyzwolenia politycznego, lecz i duchowego.

Tak gloryfikowane przez interpretatorów odrzucenie przez Mieroszewskiego funkcji „lojalistycznej pojmwanej ugody” oraz „klasycznej postawy niepodległościowej”, jako i przekreślenie szkół Piłsudskiego i Dmowskiego

miało – pokazała przyszłość – niekorzystne konsekwencje dla polskiej polityki i tożsamości. Pod wpływem „Kultury” rozmył się obraz tego, co jest tymczasowym kompromisem a co – właśnie „lojalistyczną ugodą” w ramach „rzeczywistości niesuwerennej”. Także unieważnianie zasadniczego pytania o kształt Polski (otwarty model cywilizacji kontra ciasne państwo etniczne, które nigdy nie będzie samodzielne) osłabiło naszą zdolność do geopolitycznej rozgrywki (nawet, gdyby argument osiągnięcia szczybla Rzeczypospolitej miałby stanowić głównie, czy nie jedynie mechanizm zwyżkowania poziomu zamierzonych skutków).

Ach, biała emigracja!

Dochodzę zatem do przekonania, że bilans wpływów „Kultury” – rozpatrywany z perspektywy osiemdziesięciu lat od jej powstania i ponad ćwierć wieku od zamknięcia funkcjonalnego dla jego założyciela konstruktu – był szkodliwy. Oczywiście rozpatrujemy czas dorosły miesięcznika – po wyrośnięciu z pieluch około 1950 roku do metamorfozy w prawie niepodzielną tubę krajową – od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku. W gruncie rzeczy temu „periodowi” warto się zresztą przyglądać, gdyż toczyła się wówczas rzetelna debata określana przeze mnie toposem *Pandora* versus *Londyńczyk*. Wtedy też bezustanny proces „podkopywania” przez „Kulturę” – mózgiem Giedroyc’a, a piórem Londyńczyka – niesłychanie wzmocnił ekspansję linii, którą Józef Mackiewicz nazwał Wielkim Ześlizgiem.

Przeczytaj również: Cierpki dym

Nie traćmy wszakże z pola widzenia i „pośmiertnego życia Kultury”, gdy od długiego szeregu lat ze śladów po taktyce intelektualno-propagandowej usiłuje się ukuć żywą i odpowiadającą potrzebom współczesności ideologię. Dla lepszego zrozumienia chciałbym zaproponować pewną umysłową zabawę. Bliźniaczo, jak w przypadku krajowej tzw. „opozycji” (zarówno

„demokratycznej”, czy „niepodległościowej”) wzrastającej w siłę wprost proporcjonalnie do utraty samoistnego charakteru przez paryskie czasopismo, wyobraźmy sobie, że po prostu „Kultury”, „Instytutu Literackiego” i falansteru w Maisons-Laffitte – NIE MA. Autorzy tam drukujący zasilają swymi utworami „Wiadomości”, „Orła Białego”, „Życie”, lub że powstaje w istniejącej próżni inny jeszcze tytuł. Ale jest on placówką przeciwną strategii udzielania wiecznego usprawiedliwienia dla kolaboracji/akceptacji/pogodzenia się z komunizmem.

Spróbujmy zobrazować sobie, że na polu boju trwa tylko (tak wyszydzone przez „Kulturę”) BIAŁA EMIGRACJA. Że – toczka w toczkę jak w przypadku Wychodźstwa rosyjskiego – nie udaje się na Zachodzie zainstalować emigracji sowieckiej (Sołżenicyn, „Kontinient”, liczni dysydenci). Że wszędzie trzymany jest niezłomny ton. Wtłoczono nam od pół wieku przekonanie, że wszystko, co zdarzyło się od początku lat siedemdziesiątych jest absolutnie ważne, decydujące, konstytuujące. Jest, lecz dla kształtu świata, który nie jest zadawalający. Pomyślmy jednak, jakimi zagłuszonymi wspólnie przez rządów Wschodu i Zachodu treściami zapełniło by się wolne od brykań „Kultury” miejsce. Nie jest to czcza odskocznia, gdyż stoimy ciągle przed zadaniem zapełnienia ziejącej luki, w czym adoracja doraźnego „światopoglądu Mieroszewskiego” czy „doktryny Giedroyca” w żaden sposób nie pomoże.

Tu po raz kolejny odsłania się konieczność skupienia się na ich krytykach, bo w przypadku większości okazjonalnych kamieni milowych „linii «Kultury»” nie trzeba wyważać otwartych drzwi – to, co najważniejsze zostało już kiedyś nazwane. Jednym z ostatnich dowodów na sztucznie podtrzymywaną, a politycznie zahaczoną o siły obecnej dobie omnipotencję referowanej dyspozycji jest na przykład fakt, że od dwudziestu pięciu lat, kiedy to zarysowany został pierwszy projekt książki o Pandorze i Londyńczyku nie

może ona znaleźć przychylnej atmosfery do powstania. Że fiaskiem skończyły się próby zainteresowania licznych (a zobligowanych do podobnych zadań) instytucji planem przygotowania sagi o kluczowych polskich dylematach drugiej połowy XX wieku. Jak zresztą i wydania całości pisanej wraz ze Stefanią Zahorską do 1961 roku „Puszki Pandory” oraz pozostałych pism Adama Pragiera ogłoszonych później i poza tym cyklem.

Ale i o tym opowiem w pięćdziesiątą rocznicę jego śmierci – 24 lipca.

Cdn.

Paweł Chojnacki

Wszystkie artykuły w „Teologii Politycznej Co Tydzień” [533]:
„Mieroszewski. Wyobrażenia (post)imperialna”

Fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Przypisy:

[1] H. Melville, *Moby Dick czyli biały wieloryb*, t. 2, przeł. B. Zieliński, posłowie M. Wiśniewski, Warszawa 2018, s. 252.

[2] *Orfeusz w czyścicu XXI wieku. Część II.* „Wydawnictwo Podziemne”, 29 sierpnia 2025: <https://wydawnictwopodziemne.com/2025/08/29/orfeusz-w-czysccu-xxi-wieku-czesc-ii/>

[3] *W poszukiwaniu utraconego Londyńczyka*, „Nowe Książki” 2020, nr 10, październik, s. 56–57.

[4] *Czwarty redaktor. Zygmunt Nowakowski a Mieczysław Grydzewski i jego media (studium conversation piece). Cz. 2. – lata 1947–1963*, w: Archiwum Emigracji. Studia – Szkice – Dokumenty, nr 1–2 (34–35), 2024–2025, s. 132: <https://apcz.umk.pl/AE/article/view/67639>

[5] Zob. *Legenda Starej Polski*, rec. Monika Anna Noga, *Stanisław Brzozowski w kręgu „Kultury” paryskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego i Stowarzyszenie Instytut Literacki Kultura, Seria: *Jerzy Giedroyc i... Monografie*, Łódź–Paryż 2023, „Nowy Napis Co Tydzień” nr 222, 2 listopada 2023: <https://nowynapis.eu/tygodnik/nr-227/artykul/legenda-starej-polski>

[6] Por. *Wiek remanentu*, rec. *Bieg czasu, bieg atramentu. O czasopiśmie Mieczysława Grydzewskiego i o nim samym. Wspomnienia, wybrał, opracował i wstępem poprzedził R. Habielski*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, „Nowy Napis Co Tydzień” nr 222, 28 września 2023: <https://nowynapis.eu/tygodnik/nr-222/artykul/wiek-remanentu>